

ROZDZIAŁ II

Kraina demonów

Choć Żelazną Skałę trudno nazwać prawdziwym domem, spędzone tu lata zakrzewiły we mnie nutkę sentymentu. Ze szczytów Tenebratu twierdza cieszy oko swoim kunsztem i sprawia, że czuję dumę. Jestem dumnym obywatelem Maelorii, przyszłej stolicy świata, gdzie strach i niedostatek są niczym potwór z bajek dla dzieci, oczywiście tych z dobrym zakończeniem. Obietnica lepszego życia kusi wielu. Kto by nie chciał oddać swojego losu w ręce przepięknej królowny o różowym licu i nieskazitelnym sercu? Przy odrobinie szczęścia można nawet zostać księciem!

Brama otworzyła się, jak gdyby przewidziała moje przybycie. Wzdrygnąłem się na tę myśl, gdyż niewiele jest tak przerażających bestii jak zniecierpliwiona królowa, oczekująca na raport niewidzianego od wielu tygodni armisty. Taką kobietę można pokonać tylko uległością i doświadczeniem. Zanim jednak na dobre zepsułem ten piękny poranek, postanowiłem udać się do swojego mieszkania w środkowej części twierdzy, by nieco się odświeżyć. Na tę niewielką oazę spokoju składają się trzy pomieszczenia: kwadratowy salon z oknami wychodzącymi na południe miasta, sypialnia z kamiennym tarasem i osobista łaźnia. Wkroczywszy do środka, myślałem tylko o tej ostatniej. Los postanowił sprawić mi niespodziankę.

– Witaj, błada bogini – powiedziałem do leżącej na łóżku nagiej piękności.

Jej jędrne ciało miało kolor mleka. Proste, równie białe włosy i bezbarwne źrenice nadawały urodzie dziewczęcego sznytu. Jedyнным kolorowym akcentem jej fizyczności były bladoróżowe, sterczące sutki. Zrzuciłem z siebie odzienie najszybciej, jak potrafiłem. Katta zajęła się paskiem moich spodni. Później czułem już tylko rozkosz, którą dzieliliśmy po równo. Po wszystkim wstała i wyszła bez słowa. To właśnie największa z jej zalet. Mówiła mało albo wcale. Zdarza się jednak, że mówi bez przerwy. Wtedy giną ludzie albo demony, albo jedni i drudzy naraz. Ja byłem tylko narzędziem. Używała mnie do swoich potrzeb, a następnie odkładała na półeczkę do następnego razu. Nigdy mi to nie wadziło. Taki układ ma swoje niezaprzeczalne zalety, z których trudno byłoby korzystać przy bardziej emocjonalnym egzemplarzu.

Wizyta w łaźni odświeżyła ciało i pomogła przygotować umysł. Za moment jedno i drugie zostanie wystawione na próbę. Zebrałem włosy w schludny kuc. Dopilnowałem, by żadne z długich pasm nie wyrwało się z szyku. Przywdziałem skórzaną brygantynę i czarujący uśmiech.

Zaczynamy.

Arteria wiodąca do halli głównej raczyła wizytatorów zdobionymi kolumnadami. Cała twierdza wykonana była z absurdalnej wielkości skalnych bloków, spojonych ze sobą magicznym klejem. Taka

ilość nagromadzonego energium może przyprawić o zawrót głowy. Niejednokrotnie zdarzało się, że rekruci mdleli, ledwie przekraczając próg. Choć może to widok jasnie panującej tak paraliżował ich

zmysły. Kto to wie. Stałem przed portalem wejściowym w oczekiwaniu na zaproszenie. Ciężkie skrzydła ruszyły. Wyprostowałem plecy i pewnie wszedłem do środka.

Przywitała mnie cisza.

Strzeliste okna witrażowe rzucały na podłogę migoczące cienie, burząc względnie panujący spokój. Rozejrzałem się dookoła. Z przodu stało puste siedzisko jasnie panującej. Za nim wznosiła się ściana spowita trującym bluszczem, zwanym pieszczotliwie „czarnym lamentem”. Jedna jagódka pośle cię do piachu, ale robi to niespiesznie. Zaczнешz żałować, że nie masz pod ręką kozika albo chociaż długich paznokci. Po lewej stronie widać było okna i ogromny taras. Na prawo – zamknięte drzwi.

Za mną wolność.

– W końcu się zjawiłeś, Calisto – wybrzmiało jak z zaświatów.

Z kamiennego tarasu wyszła kobieta o falujących, białych włosach i pełnych ustach. Ubrana była w zbroję z ciemnoczerwonej skóry z oczkowanymi taszkami, ponętne opadającymi na biodra. W dłoni trzymała owoc ziemiośliwy, którego skórka została okaleczona przez srebrne szpony, zdobiące każdy palec. Stała przede mną i zbliżyła twarz, jakby rzucała mi wyzwanie. Niespieszno ci było do spotkania – oznajmiła. – Masz dla mnie wieści?

– Mam coś zdecydowanie lepszego, moja pani – odparłem, hipnotyzując jej żółte oczy.

Królowa uśmiechnęła się szeroko i przysunęła mi ziemiośliwę do ust.

W takiej sytuacji bezpieczniej było zagrać w jej grę. Wgryzłem się więc w dojrzały owoc, aż puścił soki, które spłynęły po jej dłoni na posadzkę. Wyglądała na zadowoloną. Uczyniła to samo i oddaliła się w kierunku królewskiego fotela. Zasiadła, zakładając nogę na nogę, z istic kobietą gracją.

– Podejdź bliżej i opowiadaj, demonie.

Uczyniłem, jak kazała. Zacząłem od najlepszych kąsków swojej opowieści.

– Podczas wędrówki napotkałem pięciu demonów. Zrekrutowałem ich i przyprowadziłem do miasta. Są czystokrwieści. Latami ukrywali się po lasach i Kopułach. Sądzę, że to materiał na dowódców.

– Wspaniale, Calisto. Właśnie znalazłeś się o krok bliżej mej łaski. Mów dalej.

– Zwerbowałem też stu ludzi chcących wyrwać się z kapłańskich kajdan. Stanton ma ich przeprowadzić przez Tenebrat. Wkrótce powinni do nas dołączyć.

– Mhm, to zaiste dobre wieści. Jednakowoż do pełni satysfakcji nadal daleko. Chcę wiedzieć, co zajęło ci aż trzy miesiące. Bo chyba nie zebranie pięciu rekrutów i stu biedaków, których w dodatku doprowadzi tu inny armista? – kalkulowała chłodno.

– Pani, działania propagandowe zajmują dużo czasu. Kopuła jest dziewięćdziesiąt pięć. To ogromne aglomeracje. Wypada nas zaledwie kilku na każdą z nich. Zefyrion jest ogromny. Przemieszczanie się zajmuje...

– Dosyć! – ryknęła, uderzając pięścią w oparcie siedziska. – Nie chcę słuchać tych bredni. Jesteśmy wyższymi demonami, a ty zachowujesz się jak byle pomiot, który wypadł dziwce spod ogona. Brzydzę się twoją słabością – dodała, a jej oblicze skamieniało. Miałem czas namyślić się, w jaki sposób przyjdzie mi dziś umrzeć.

Wtedy coś mi się przypomniało.

– Jest jeszcze coś, łaskawa pani – dodałem. – W Kopule Gryf, tej najdalej wysuniętej od stolicy...

– Wiem, gdzie jest Gryf. Nie pogarszaj sprawy – odwróciła się.

– Zdarzył się tam pewien incydent. Przemierzając miasto, poczułem silne aurum, niepasujące do reszty. Podążyłem więc za jego źródłem. Okazała się nim nieduża, ludzka dziewczyna. Wyglądała zwyczajnie, jak każdy człowiek. Brązowe włosy, niebieskie oczy. Nic szczególnego. Wyróżniała ją jedynie cięty język.

– Zapamiętałeś coś jeszcze? Może jaki miała tyłek?

– Wybacz, królowo. Pragnę przekazać jak najwięcej szczegółów – doprecyzowałem w głębokim pokłonie. – Zaproponowałem pomoc, ponieważ wyczuł ją jeden z likwidatorów. Dziewczyna mnie zbyła. Najdziwniejsze było jednak to, co stało się potem. Słaniała się na nogach i krwawiła. Ostatecznie odebrałem jej nadmiar mocy, co po prawdzie uspokoiło szalejące aurum, ale... ta energia była jakaś inna.

– Gdzie jest teraz ta dziewczyna?

– Tam, gdzie ją zostawiłem, w Kopule Gryf. Biedaczka prawdopodobnie już nie żyje. Mogłem nieco przesadzić z transferem. Znalazł ją czerwony kapłan, więc... Sama rozumiesz, moja pani.

– Wynocha – rozkazała. – Wyjdź, nim urzeczywistnię obraz, który jawi się w mojej głowie.

– Jak sobie życzysz, pani – odpowiedziałem i dygnąłem uniżenie.

– Jeszcze jedno. Jutro przyprowadź do mnie tych pięciu rekrutów. Chcę ich obejrzeć.

– Oczywiście, królowo.

Jeszcze tego samego dnia zdążyłem upodlić się w maeloriańskim burdelu, wlewając w siebie horrendalne ilości alkoholu. W kwestiach rozrywkowych Maeloria zdecydowanie góruje nad Zefyrionem. Tamtejsze kobiety rzadko dają upust swoim żądzom, wymawiając się posiadaniem męża albo trzymając dla niego cnotę. To tłumaczy, dlaczego są tak ponuro usposobione.

Zalany w trupa wróciłem do mojej oazy z nadzieją, że w drzwiach przywita mnie Katta. Nie przywitała. Padłem na łożo tak, jak stałem, odpuszczając codzienne ablucje.

Ni stąd, ni zowąd, przyśniła mi się ona. Stała zupełnie naga pośród paproci. Długie do samych ud włosy osłaniały jej kobiece kształty. Uśmiechała się. Wołała mnie do siebie. Do tego momentu

sen bardzo mi się podobał. Dalej było już gorzej. Z jej oczu i ust wartkim strumieniem popłynęła krew. Prosiła o pomoc. Chwyciłem ją za nadgarstki, które w jednej chwili zapłonęły białym ogniem. Nie mogłem się oderwać i zapłonąłem razem z nią.

Zbudziłem się z krzykiem.

Katta stała nad łóżem z założonymi rękami i nietęgą miną.

– Dragora czeka. Pospiesz się – zakomunikowała.

Byłem pewien, że dziś się nie wywinę. Zasnęłem przez ponętą młódkę, której imienia nawet nie znam. Niezbyt pozytywnie nastawiony ogarnąłem się z nieładu i nałożyłem skóry. Wybiegłem bez zastanowienia. Piątka nowych rekrutów czekała już w korytarzu wiodącym do głównej halli. Podeszliśmy do portalu wejściowego. Liczyłem, że zdążę choć przeczesać zmierzwiłone włosy. Jak na złość, drzwi się otworzyły.

Szlag.

Na środku czekała już zniecierpliwiona królowa.

– Witajcie w Maelorii, nowi rekruci – wybrzmiało z uśmiechniętych ust. – Nie ociągajcie się. Pragnę poznać wasze imiona. Pewnie się na to nabiorą. Każdy się nabiera.

– Jestem Sverin. Przybyłem tu, by walczyć w słusznej sprawie – odpowiedział umięśniony drab o ostrych rysach twarzy.

– Jam jest Wenefryd. Wytworzę dla ciebie, pani, najlepsze pancerze skórzane, jakie widziała ta kraina – zapewniał ogolony na łyso mężczyzna w średnim wieku.

– Witaj, królowo. Jesteśmy braćmi wychowanymi w zefyriońskich lasach. Imiona nasze to Artus i Systus. Będziemy dobrze walczyć, niosąc twoje imię na ustach.

– Wspaniale mieć was tu, u swego boku – odpowiedziała władczyni.

Wtedy zza Sverina wyłonił się najwątleszy z piątki. Dragora natychmiast straciła zainteresowanie pozostałymi. Gdy podeszła do niego, trząśł się jak galareta.

– A ty, chłopczyku? – zapytała.

– Jestem Erik, pani. Mam prawie siedemnaście lat, choć nie wyglądam. Uciekłem, gdy chcieli mnie nabić na widły – odpowiedział i padł na kolana. – Jestem młody, ale na pewno się przydam. Błagam, wasza wysokość, nie odsyłaj mnie – prosił, wpatrując się w posadzkę mokrymi oczami.

– Nie obawiaj się. Zostaniesz tu przy mnie. Przy matczynej piersi rozkwitniesz – zapewniła.

Przy matczynej piersi i nie tylko, pomyślałem ze współczuciem dla młodzika, któremu twarz nagle pojaśniała. Też tak kiedyś myślałem. Teraz wiem, że za łaskę przychodzi zapłacić. Czy to złotem, czy życiem, czy... czymś innym.

– Ten tu dowódca najwyższej rangi ręczy za waszą lojalność. W Maelorii jest ona podstawową wartością. Czego pragniecie? – zapytała królowa.

Rekruci popatrzyli po sobie i jednogłośnie stwierdzili, że chcą walczyć ku chwale królestwa. Okazało się, że żaden z nich nie miał doświadczenia w boju, zatem wszyscy, oprócz młodzika, trafi

li do koszar, by tam przyzwyczajać się do nowego stylu życia. Tereny wojskowe zajmowały co najmniej jedną trzecią miasta, a w ich rozwój inwestowano setki złotych. Prężnie rozwijająca się struktura armijna dobrze rokowała na przyszłość. Ambicje Dragory są zapewne większe niż zdobycie ziem po tej stronie Tenebratu. Odłożyłem na bok te rozmyślania, gdy do halli wtargnął Alloc, mój ulubiony dowódca zwiadu południowego. Rekruci zeszytywnieli. Alloc nie pojawił się sam. Ciągnął za sobą łańcuch, na którego końcu, zakuty w żelaznej obroży, podążał osobliwy piesek w szkarłatnym mundurze.

– Pani, wybacz najście – zakomunikował i skłonił się nisko. – Przywożę podarek prosto z serca Zefyrionu.

Oczy Dragory rozbłysły. Chwyciła za łańcuch i przyciągnęła likwidatora do siebie.

– No proszę, bijcie na alarm. Mamy w Żelaznej Skale czerwonego kapłana – zachichotała, niby niewinnie.

Pojmany nie podchwycił żartu. Jego mina niezmiennie wyrażała głęboką pogardę. Nie okazywał też cienia strachu. Co chwilę spluwał krwią. Rana w boku wymagała szybkiej interwencji medyka. Wykrwawiał się na posadzkę, a mimo to stał wyprostowany, jak w wojskowym szyku. Na ręce i nogi nałożono mu kajdany z noxomantytu. Gdyby ich nie nosił, mógłby sprawić nam nieco kłopotów.

– To nie wszystko, moja królowo – dodał Alloc. – Złapaliśmy kolejnych czterech w lasach wokół ich stolicy, Złotego Losu. Ten jest wyszkolony i niebezpieczny. Wytrzebił kilku naszych. Pozostali to uczniaki.

Królowa się rozpromieniła.

– Trzeba to uczcić, jak sądzicie? – rzuciła w stronę zgromadzonych, ale nikt nie ośmielił się podjąć tematu. – Jutro wyprawię bankiet dla wszystkich armistów i ich żon. W roli głównej wystąpią goście ze stolicy – obwieściła i szarpnęła za łańcuch. – Będiesz się wspaniale bawił, likwidatorze.

Tak oto Alloc zaskarbił sobie dożywotnią przychylność naszej władczyni, która ponad wszystko nienawidzi kapłanów i ponad wszystko kocha widowiska. Cwany skurczybyk wybrał dobry moment, by się popisać. To jeszcze bardziej komplikuje moją sytuację w twierdzy.

– Allocu, zabierz stąd tego kapłana i zadbaj, by zarówno on, jak i jego podwładni, byli czysti i pachnący na jutrzejszy wieczór. Nie chcemy tu... zapaszków – dodała, ganiąc mnie wzrokiem.

Odprowadziłem rekrutów do koszar. Każdy otrzymał maeloriańskie wyposażenie i stanowisko. Dragora dbała o swoje wojsko. W szeregach nie brakowało sytego, choć prostego jedła i alkoholu. Pracowali dla niej utalentowani płatnerze i zbrojmistrze. W świetnie wykonanym pancerzu nawet zwykły chłop poczuje się jak armista. Co ważniejsze, żołd wystarczał na godne życie. Sukces odnosił ten, kto wkupił się w łaski naszej jaśnie pani. Reszta to już loteria.

W drodze powrotnej natknąłem się na Alloca. Próbowałem udać, że go nie dostrzegam, ale wysiłki spełzły na niczym.

– Calisto, stary kurwiarzu! Gdzie się tak spieszysz? – krzyknął. Nie omieszkał przy tym zademonstrować swego zwycięskiego uśmiešku.

Domyślałem się, co ma na celu ta rozmowa, ale było za późno, żeby się wycofać.

– Nasz wybawca, Alloc, we własnej osobie. Pewnie z niecierpliwością wyczekujesz nocnego wezwania do głównej halli – docinałem.

– A jakże. Ty zaś daruj sobie. Już spadłeś ze szczytu. Pomnij moje słowa, gówniarzu. Wkrótce w twierdzy braknie dla ciebie miejsca. Skończy się wygodne życie i rżnięcie najlepszego mięska. Gdy Dragora dostrzeże, ile naprawdę jesteś wart, naśle tę bladą sukę i zakończysz żywot, krztusząc się własną juchą. Osobiście dopilnuję, by każdy twój wybryk dotarł do uszu naszej pani.

– Miałem cię za bystrzejszego – stwierdziłem, kręcąc głową. – Może odwiedzisz jej alkowę jeden czy dwa razy. Ode mnie też otrzymała podarek. I to podarek, który przez najbliższe kilka lat będzie jej sprawiał radość, regularnie co noc.

Alloc prychnął w głos.

– Że niby ten nastoletni chłystek ma być dla niej lepszy? – Dowódca machnął ręką. – Co za brednie!

– Twój zakrwawiony kapłan jutro zginie. Co wtedy? Będziesz zmuszony schwytać dwóch. Potem trzech. Końca nie będzie. Niósł wilk razy kilka... – dodałem z uśmiechem.

– Zamilcz! Ty już jesteś poza grą. Będziesz miał szczęście, jeśli szybko wybuchnie wojna i w niej zdechniesz.

– Próbuję ci nakreślić, że niepotrzebnie widzisz we mnie wroga. Jesteśmy po tej samej stronie. Wylecimy z twierdzy razem albo, kto wie, może uda nam się razem w niej pozostać.

Alloc zmarszczył czoło. Przez jego łysy łeb przetoczył się ciężki proces myślowy. Doskonale sprawdzał się w boju, ale myślenie abstrakcyjne go przerastało. Po dłuższej chwili ponownie machnął ręką i odszedł w swoją stronę. Zaśmiałem się w duchu i ruszyłem przez miasto. Głutwa dawała mi się mocno we znaki, więc przystanąłem w karczmie „Komnata Elzibety”, by napełnić kiszki tłustym jadłem i zapić warzelniakiem. Maeloriańska kuchnia była nieporównywalnie smaczniejsza niż zefyriońska. Używamy dużo więcej przypraw i aromatycznej wędzonki. Warzelniak ma kilka procent więcej, co czyni go przyjemniejszym w obyciu. Z kolei nasza odmiana Kryształowego Nurtu zdaje się czystsza i mocniej kąsa kubki smakowe.

– Witaj, babuniu – powiedziałem do starszej kobiety, krzątającej się za kontuarem.

– Witaj, synku. Dawno cię nie było. Skończyłeś już swoje wojaże?

– Wiesz, jak jest. Natury nie oszukasz. Moim przeznaczeniem jest obejść świat.

– Modłę się do Kręgu Gwiazd, byś odnalazł swoją drogę – odparła.

– Siadaj do ławy. Zaraz przyniosę ci pieczoną caprelę i kociołek warzelniaka.

– Elzibeto, powiadam ci, pozostaniesz moją największą miłością po wsze czasy – bajerowałem.

Kobieta, wymachując ścierką, zabełkotała coś wesoło i zniknęła na zapleczu. Choć nigdy nie miałem rodziny i nie wiem, jak to jest dbać o kogoś, zaryzykowałbym stwierdzenie, że Elzibeta jest mi bliska jak babka. Od lat napycha mi brzuch i udziela dobrych rad. Nie zliczę, ile razy leżałem odłogiem na zapleczu karczmy, zalany w trupa. Zamiast zdzielić mnie miotłą i wypędzić, karmiła mój zewłok pożywnym rosołem. Tu zawsze mogłem stanąć na nogi. Nie zadawała pytań i nigdy nie poddawała ocenie moich występków. Z roku na rok staje się zauważalnie wolniejsza, ale nadal bez reszty poświęca się pracy w karczmie. Ma w sobie coś jeszcze. Dysponuje naturalną zdolnością wieszczczenia przyszłych wydarzeń. Inna sprawa, że zrozumienie mglistych opisów przepowiedni stanowi nie lada wyzwanie. Jestem prostym armistą. Nie przemawiają do mnie metafory ani wiersze. Nie potrafię odczytać skrywanego w nich sensu. Niedawna przepowiednia brzmiała: „Unikaj gór o północy, by drapieżnik nie wywarł na tobie wścieklej pomsty”. W praktyce oznaczało to: „Nie wracaj urznięty do twierdzy, bo napotkasz królową, a ona nie toleruje pijaństwa i przefasonuje ci gębę”. Nie można było tak od razu?

Innym razem rzekła swoim zbiełałym wzrokiem: „Niech nie zwiedzie cię smukłe ciało i wiosenny zapach, który czyhać będzie na twoje życie, aż księżyc zniknie za Tenebratem”. Naturalnie, myśląc, że mowa o kobietach, zacząłem ich unikać, do czasu aż nastanie poranek. Nie to jednak autorka miała na myśli. Smukłe ciało okazało się flaszką importowanej berbeluchy o sugestywnej nazwie „Kłątwa księżycy”. Napój ten posiadał potężne właściwości halucynogenne. Finał był taki, że ocknąłem się nagi na kwietnej polanie, dwadzieścia kilosusów od miasta. Istotnie, zapach, który tam czułem, był wiosenny.

Tego wieczoru wychyliłem jeszcze kilka dzbanów. Być może zabawiłem też jakąś młodą i chętną dziewczkę. Porobiłem się tak mocno, że niczego nie byłem pewien. Słowa Elzibety rozmyły się w moim otumanionym mózgu i straciły na znaczeniu. Jeden tylko obraz nawiedzał mnie regularnie, bez względu na to, czy to we śnie, czy w pijackim amoku.

– Ta ptaszyna z Gryfa... – powtarzałem pod nosem, zataczając się na schodach twierdzy.

Był środek nocy i wokół hałasowały jedynie świerszcze.

– Pewnie już nie żyje. Mardrak deptał jej po piętach. To ścierwo ją pewno zerznęło i zabiło. Ukatrupię skurwysyna! – wykrzyczałem w próżnię.

– Zamknij się, durniu.

– Kto idzie?! – pytałem, wymachując pięściami.

– Twoja ptaszyna – odparła postać, po czym dostałem przez łeb.

Ocknąłem się w swoim łóżu. Katta zdejmowała ze mnie ubrania, siłując się z napierśnikiem. Chwyciłem ją oburącz za twarz i wpiłem się w mięsiste wargi. Reakcja była szybka i niespodziewana. Otrzymałem solidny strzał w pysk.

– Co jest? Zawsze to lubiłaś – odparłem, trzymając się za piekący polik.

– Jesteś nierozważny. Nie wyciągasz lekcji z ostatnich wydarzeń.

Dragora wkrótce nakaże mi cię zabić, a ja wykonam ten rozkaz. Rozumiesz, demonie? Nic nas nie łączy.

– Nawet seks? Dziki i bez zobowiązań? – próbowałem dalej.

Tym razem z moim nosem zderzyła się rozpędzona pięść. Zwinąłem się niczym niemowlę w łonie matki. Błada bogini wyszła. Wkrótce potem porwał mnie sen.

CZYTELNIKU!

Zaintrygował Cię demon Calisto? Zamów książkę z dedykacją i podpisem 😊

Napisz na: kontakt@sylwiazapasnik.pl

Potrzebujesz więcej mięska?

Przeczytaj fragment narracji Adianny, który jest jednocześnie początkiem książki.

[Kliknij tutaj](#)

